

Jacek Koronacki: Krótka refleksja o obłędzie wykorzenienia

Odbudowa „katolickiego imaginarium” jest możliwa, to na pewno poza panującym systemem. Zacząć się powinna od założenia nowych uniwersytetów, czyli od mądrego kształcenia przyszłych pokoleń. Mamy potrzebną do tego kadrę akademicką, ale to praca na pokolenia i niestety wymagająca ogromnych oraz regularnie ponoszonych nakładów finansowych – pisze Jacek Koronacki dla „Teologii Politycznej”

Literatura, która od bez mała dwustu lat zapowiadała koniec Zachodu i wyjaśniała, jaki proces myśli i działania doń prowadzi, jest ogromna. Ale chyba za mało dziś zwracamy uwagę na to, iż skutkiem tego procesu jest popadnięcie Zachodu w obłęd i że za mało ten fakt nazywamy właśnie tak – po imieniu.

Także w tym wieku powstało bardzo wiele znakomitych, dogłębnych studiów poświęconych procesowi, który prowadził Europę od jej wejścia na *via moderna* w filozofii w XIV wieku po dzień dzisiejszy. Ostatnio, trzeba to koniecznie odnotować, ważne i szerokie spojrzenie na ten proces przedstawił Bronisław Wildstein w książce *Bunt i afirmacja. Esej o naszych czasach*. Profesor Jacek Bartyzel, najważniejszy z żyjących polskich myślicieli i historyków idei, który potrafi dać studium dogłębne i jednocześnie lapidarne, dał takowe np. w tekście *Tradycja i jej wrogowie*.

Parę słów przypomnienia

Na krótko przed wyborem na Papieża ukazał się zbiór trzech wykładów kard. Josepha Ratzingera, *Europa Benedykta w kryzysie kultur* (Libreria Editrice Vaticana oraz Edycja Świętego Pawła 2005), gdzie możemy przeczytać takie słowa o zachodnim kryzysie kultury:

[...] oświecenie wywodzi się z chrześcijaństwa i zrodziło się nieprzypadkowo i wyłącznie w ramach wiary chrześcijańskiej. [...] Zasługą oświecenia było i jest to, że ponownie [...] oddało właściwy głos intelektowi.

[...] ważne jest, czy świat pochodzi od tego co nierozumne, a wtedy rozum jest tylko „produktem ubocznym” – nawet szkodliwym – jego ewolucji, czy też świat powstał w wyniku rozumu i w konsekwencji jest ukształtowany według jego kryteriów i celów. [...] Jednak rozum pochodzący od tego co nierozumne, i który na koniec sam jest nierozumny, nie może być rozwiązaniem dla naszych problemów.

[...] W epoce oświecenia próbowano zrozumieć i określić zasadnicze normy moralne, mówiąc, że powinny być stworzone w taki sposób, żeby mogły mieć zastosowanie nawet wtedy, gdyby Bóg nie istniał – etsi Deus non daretur.

[...] doprowadzone do granic możliwości próby tworzenia rzeczy ludzkich przy zupełnym pominięciu Boga prowadzą coraz bliżej do krawędzi przepaści, ku całkowitemu upadkowi człowieka.

Oświecenie uczyniło Rozum niezależnym od Objawienia albo ogólniej, jak u Greków, od wyższego Ładu. Rozum bez tego zaczepienia w Objawieniu, staje się podejrzący i nieważny, nie prowadzi do Prawdy, lecz donikąd. I dlatego, za Pascalem, Kardynał Ratzinger radził swoim niewierzącym przyjaciółom, by żyli tak, jak gdyby Bóg istniał – *veluti Si Deus daretur*. Można być pewnym, iż kardynał, niedługo potem Papież Benedykt XVI, wiedział, że Zachód nie zawróci z marszu ku przepaści, zaś Kościół na Zachodzie stanie się nieliczny. Na zakończenie wykładów radiowych w rozgłośni Hessian Rundfunk ks. Joseph Ratzinger tak mówił 24 grudnia 1969 r.:

Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Stanie się nieliczny i będzie musiał rozpocząć na nowo, mniej więcej od początków. Nie będzie już więcej w stanie mieszkać w budynkach, które zbudował w czasach dostatku.

Wraz ze zmniejszeniem się liczby swoich wiernych, utraci także większą część przywilejów społecznych. Rozpocznie na nowo od małych grup, od ruchów i od mniejszości, która na nowo postawi Wiarę w centrum doświadczenia.

Będzie Kościołem bardziej duchowym, który nie przypisze sobie mandatu politycznego, flirtując raz z lewicą a raz z prawicą. Będzie ubogi i stanie się Kościołem ubogich.

Wtedy ludzie zobaczą tę małą trzódkę wierzących jako coś kompletnie nowego: odkryją ją jako nadzieję dla nich, odpowiedź, której zawsze w tajemnicy szukali.

Dziś Zachód znalazł się na krawędzi przepaści. Popadł w obłąd. Nie ma innego określenia dla społeczeństw, w których można z powagą głosić, że człowiek nie ma obiektywnie mu danej natury, lecz sam się określa, np. dziś przedstawiając się jako mężczyzna, a jutro kobieta. Potrzeba obłądzenia, by zachodni prawodawcy mogli dziś związki homoseksualne nazywać małżeństwami i np. wysocy urzędnicy UE starali się karać przeciwników tego absurdalnego stanowiska. Potrzeba obłądzenia, żeby na uniwersytetach nauczać genderyzmu i nienawiści do własnej historii.

Sygnalizując źródła tego upadku Kardynał cofnął się do myśli oświecenia. Eric Voegelin zwracał uwagę, że oświecenie radykalnie odrzuciło chrześcijańskie zwrócenie się ku transcendencji, Bogu, i tam szukanie źródła oraz celu istnienia. Oświecenie zwróciło się ku wyjaśnieniu wewnętrznej struktury człowieka przez analizę jego własnego jestestwa – działanie fizycznej wrażliwości lub mechanizmu przyjemności-bólu. Voegelin pisał: „Odwróceniu kierunku towarzyszy wypaczenie idei ładu: nieporządek namiętności zostaje zaakceptowany jako normalny ład ludzkiej duszy”. Oświeceniowe proklamowanie autonomii rozumu kończy się poddaniem rozumu w niewolę namiętnościom. Jest to zniszczenie integralności osoby ludzkiej,

ponieważ zostaje jej zarazem odebrany transcendentny cel istnienia. Ład nie może być przywrócony, chyba że funkcję jego odnowiciela przejmie ekspert występujący w roli prawodawcy. Fundament tego nowego niby-ładu, którym jest mieszanka sensualizmu i utylitaryzmu, nie ma sensu. Ale to nie przeszkodziło jego trwałości, ponieważ stał się dogmatem świeckiej „religii” ze zbawieniem bez Boga, osiągalnym dzięki właściwie pokierowanemu procesowi historycznemu. Voegelin tak podsumowywał wymienione aspekty oświecenia: „Oświeceniowy utylitaryzm jest pierwszym z szeregu ruchów sekciarskich i totalitarnych. Kolejne to pozytywizm, komunizm i narodowy socjalizm”. (Niniejsze przypomnienie Voegelina książki *Od oświecenia do rewolucji* zaczerpnąłem z mojego wcześniejszego tekstu pt. *Idee mają konsekwencje*, w którym szkicowałem – posiłkując się myślą tego i innych filozofów, zwłaszcza Etiénne Gilsona – drogę myśli i kultury od przełomu nominalistycznego w XIV wieku po współczesność (por. też. *O końcu historii i transhumanizmie*)

Gdy piszemy o świeckiej „religii” ze zbawieniem bez Boga, osiągalnym dzięki właściwie pokierowanemu procesowi historycznemu, mamy w istocie na myśli nowożytną gnozę. Jak pisał Voegelin w eseju *Wissenschaft, Politik und Gnosis* (Monachium 1959, tłum ang. *Science, Politics and Gnosticism*, Waszyngton 1968):

Celem paruzyjnego gnostycyzmu jest zniszczenie porządku bytu, doświadczanego jako wadliwy i niesprawiedliwy, i zastąpienie go dzięki twórczej mocy człowieka ładem doskonałym i sprawiedliwym. Ale, jakbyśmy nie rozumieli owego porządku bytu – czy, jak na Bliskim Wschodzie jako świata zdominowanego przez kosmiczno-boskie moce, czy jako stworzonego przez transcendentnego Boga symbolizmu judeo-

chrześcijańskiego, czy jako esencjalnego ładu bytu w kontemplacji filozoficznej – ten jest czymś danym, na co człowiek nie ma wpływu. Natomiast przejęcie kontroli nad bytem wymaga unieważnienia transcendentnego pochodzenia bytu: wymaga dekapitacji bytu – zabójstwa Boga.

Dwudziestowieczna gnoza przybrała na Zachodzie w głównej mierze postać kulturowego marksizmu. Z tym że dziś, u końca pierwszego ćwierćwiecza XXI wieku, dzieci tego marksizmu żyją już po końcu historii, ku któremu może i wiele o tym nie myśląc zmierzali. To głównie marksizm, taki czy inny, stalinowski czy kulturowy, Engelsa czy frankfurtczyków, doprowadził do tego, co widzimy. Warto tu przypomnieć Alain Besançon *Anatomie widma*, w której zawarta analiza komunizmu ten obłęd zapowiada.

Napisałem, iż dwudziestowieczna gnoza przybrała na Zachodzie w głównej mierze postać kulturowego marksizmu. Dlaczego „w głównej mierze”? Ponieważ mamy jeszcze przybierające dziś na znaczeniu zjawisko trans- i post-humanizmu. Zjawisku temu poświęciłem inne teksty i tu pozwalam sobie odwołać Czytelnika do mojego tekstu pt. *Cyberprzestrzeń, sztuczna inteligencja i posthumanizm*.

W tym miejscu wystarczy powiedzieć, że mamy w tym przypadku do czynienia z tym samym obłędem, jakkolwiek inaczej się objawiającym – za każdym razem obłędem „wydrażonych ludzi”, by za Jackiem Bartyzelem (op. cit.) posłużyć się terminem Thomasa Stearnsa Eliota.

Gnostyckiego charakteru w pełnym znaczeniu tego słowa nie miał liberalizm, ale też słusznie napisał polski historyk idei, że:

„wydrążeni ludzie” są ofiarami „mentalności liberalnej”, stojącej u podstaw wszystkich znanych (filozoficznych, etycznych, politycznych, a nawet religijnych) konkretyzacji liberalizmu, to znaczy przeświadczenia o samowystarczalności człowieka oraz koncyptowanego i budowanego przezeń świata, a także o niezależności rozumu indywidualnego od Objawienia

Liberał był człowiekiem zbyt płytkim, by chciał zrozumieć, co czyni, i swojemu działaniu przypisać jakiś pozytywny – choćby i pomyłony – cel. „Taki człowiek – pisał Erik Voegelin – chce brać udział w rewolucji do momentu, w którym cywilizacja zostaje zniszczona w stopniu odpowiadającym jego własnej, niepełnej osobowości. [...] Nie jest dość inteligentny, by zrozumieć problem instytucjonalizacji ducha”. Jego symplicyzm kazał mu wierzyć, że wystarczy zniszczyć to, czego się nienawidzi, a potem wszystko się jakoś ułoży. Jak to podsumował, przywołując „zasłonę niewiedzy” Johna Rawlsa, Jacek Bartyzel, pisząc: „Tym samym, liberał zupełnie jawnie przyznaje, że fundamentem życia zbiorowego ma być ignorancja”.

Liberalna mentalność powoduje także filozofami postmodernistycznymi czy filozofami skończoności (por. np. synteza ich poglądów w Włodzimierza Lorenca *Filozofiach skończoności*, Warszawa 2016).

Obłąd po końcu historii

Obserwujemy dziś obłąd po końcu historii kulturalnej i cywilizacyjnej. Zbyt dużo racji miał kontrowersyjny Alexandre Kojève (p. mój tekst pt. *O końcu historii i transhumanizmie*, op. cit.), natomiast nieuchronną klęskę ponieśli Adorno, Horkheimer czy Habermas, którzy uważali, że należy zniszczyć kulturę – odebrać młodym pokoleniom wiarę w Boga, rodzinę, zbezczęścić ojczyznę – w ten sposób „kulturalną hegemonię” panującej burżuazji zastąpić antyhegemonią nowego ładu, przejąć władzę i panując zapewnić ludowi przewycięzenie alienacji, wolność i sprawiedliwość, słowem „raj na ziemi”. To już nie czas Gramsciego, który namówił lewicę do marszu przez instytucje, to już tylko nicość, która zaowocowała obłądem.

Korzystając z metafory Aleksandra Wata – kiedyś komuniści chcieli przekucia dusz (*pierekowki dusz*), ich rozgrzania jak w kuchennym piecu rozgrzewało się było dusze żelazek przed dotarciem pod strzechy elektryczności i nadania im nowej formy. Dziś chodzi o dusz wyrwanie – mamy mieć „wydrażonych ludzi”. To prawda, że temu marszowi już po końcu historii przewodzi lewica – kiedyś marksistowska, potem neomarksistowska i inna. Ale bo też gdzie mają pójść, skoro są ludźmi już „wydrażonymi”? Stoją na krawędzi przepaści, przed nimi nie ma już żadnej utopii, jest nicość, w którą chcą zepchnąć cały Zachód.

To nie przypadek, że po powrocie do Niemiec Adorno przeżył załamanie, gdy zobaczył w 1968 roku studencki motłoch, Horkheimer powrócił do wiary swoich przodków, a młodszy od nich Habermas opowiedział się za postsekularyzmem, który widzi w przestrzeni

publicznej miejsce dla religii, jej racji i refleksji z tych racji wyrosłych. I tak oto podczas debaty w Katolickiej Akademii Bawarii w styczniu 2004 jej uczestnicy, Jürgen Habermas i kard. Joseph Ratzinger, zgadzali się – jak to podsumował w swoim omówieniu debaty Zdzisław Krasnodębski – *że rozum stał się niebezpieczeństwem, że się „wykoleił”*.

Etsi Deus non daretur...Oto pierwszy i najważniejszy aksjomat oświeceniowej i późniejszej myśli oraz nowoczesnej zachodniej cywilizacji. Ludzki umysł, przecież szukający Prawdy ale zbyt pewny siebie, oraz polityczna, gospodarcza i kulturalna historia Europy doprowadziły Zachód do wykorzenia myśli o Bogu i wykorzenia własnej zachodniej Tradycji (por. np. dzieło wybitnego, jakkolwiek zbyt mało znanego, katolickiego historyka Christophera Dawsona, który lokuje początek tej rewolucji w XVI wieku, za jej składniki mając trzy ze sobą powiązane rewolucje – polityczną, ekonomiczną i naukową – wszystkie tak czy inaczej związane z późnośredniowiecznym i renesansowym sceptycyzmem oraz rewolucją reformacji i ich wszystkich odmiennymi postaciami na europejskim Południu i europejskiej Północy). Rzecz właśnie w **wykorzeniu** i dlatego wolno chyba obecny obłąd nazwać obłądem wykorzenia. Zapowiadany przez wielu upadek człowieka przyjął dziś postać obłądu.

Grecy rozumieli nierozzerwalność życia moralnego i intelektualnego oraz obecność Tajemnicy, która jest fundamentem naszego człowieczeństwa. Kto tę nierozzerwalność pojmuje w wieku XXI?? Ewa Thompson tak kończyła swój esej pt. *Can We communicate? On Epistemological Incompatibilities in Contemporary Academic Discourse* (w:) *COLLEGIUM / COLLEGE / KOLEGIUM: College and the Academic Community in the European and the American Tradition*,

Mark O'Connor i Piotr Wilczek [red.], Boston – Warsaw 2010, w którym przywoływała myśl Alasdaira MacIntyre'a o nierozzerwalności życia moralnego i intelektualnego:

[MacIntyre] utrzymuje, że człowiek to nie tylko rozum, jak tego chciało oświecenie, i również nie tylko uczucie i wola, jak tego chciał Nietzsche i jego następcy. Stwierdza coś, co niewielu filozofów czasu nowoczesności ośmieliło się powiedzieć: że aby móc się komunikować, musimy w sobie kultywować pewne cnoty – te, bez których komunikacja jest najzwyczajniej niemożliwa.

Esej Thompson wraca do tego, że epistemologia i moralność są ze sobą nierozzerwalnie splecione. Unieważniając wątek moralny nowożytność rozerwała ten związek. I zamykając naukę – oraz wiedzę! – w materialistycznych, naturalistycznych ramach, utraciła zdolność mówienia o człowieku. Tą drogą nadeszła śmierć uniwersytetu.

Bez zatrzymaniem się nad śmiercią uniwersytetu nie zrozumiemy, dlaczego obłęd wykorzenienia opanował tak wielu, w tym – albo zwłaszcza – najlepiej co nie znaczy dobrze – wykształconych.

Każdy naród potrzebuje elity promieniującej wyznawanym etosem, zdolnością czynienia właściwych rozróżnień i tym sposobem pomagającej wspólnocie wieść wartościowe życie. Bez swojej elity naród ulega degeneracji, zwolna lecz nieuchronnie przestaje być ludem

żyjącym godnie we wspólnocie wiążącej pokolenia. Polska ma taką elitę, ale dziś całkowicie zmarginalizowaną, nie mającą szansy, by oddziaływać na szerokie rzesze.

Na co mniej się zwraca uwagę, każdy naród potrzebuje też Ojca, spełniającego monarchiczną rolę. Polska miała Prymasa Tysiąclecia, który prowadził „milczącą większość” – chłopów i robotników – przez trudny czas komunistycznej opresji. Dariusz Karłowicz wspaniale dostrzegł, że rolę polskiego monarchy pełnił św. Jan Paweł II. Tłumy pielgrzymujące do trumny Prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego Małżonki pokazały, choć wcześniej tego najczęściej nie wiedziały, iż miały Ojca w tragicznie zmarłym Prezydencie. Dziś Polska czeka na swojego ojca narodu.

Kolebką elity jest – powinien być – uniwersytet. Ale uniwersytet, jeśli rozumieć przezeń miejsce szukania Prawdy i szerzenia cnót, umarł dawno temu. „Cóż to jest prawda” pytał kiedyś Piłat, a dziś mamy się pogodzić z tym, że jej nie ma albo każdy ma swoją. Cnotę, słowo dziś nieznane, zastąpiła „wolność wyboru”.

W roku 1953 niejaki Karl Ettinger, konsultant jednej z komisji Kongresu USA, poprosił Voegelina o opinię co myśleć o tym, że fundacje współfinansujące wyższe nauczanie chwieją się pod naporem – jak pisał w swoim liście – „związków zawodowych uniwersyteckich profesorów, przekonujących fundacje do opowiedzenia się po stronie «ilościowych», a nie «indukcyjnych» nauk społecznych z prawie zupełnym wykluczeniem badań filozoficznych i historycznych”. Rozeźlony Voegelin napisał w odpowiedzi – którą potem zachował dla siebie, a wysłaną ubrał w elegantsze słowa – że chodzi tu o

przekupienie (tak, przekupienie – tego terminu użył filozof) młodych badaczy na rzecz współczesnego pozytywistycznego trendu ograniczenia się do badań ilościowych, czego efektem będzie „skażenie młodych umysłów fałszywą doktryną”, że zatem chodzi tu o zbrodnię (tak, zbrodnię) wyrosłą „z ignorancji, której źródłem jest [...] pogarda dla życia intelektualnego i duchowego, będących fundamentem życia ludzkiego i społecznego”. Drogą do tego skażenia jest ideologia „metodologicznej ścisłości”, która skazuje studenta na fałszywą alternatywę pozytywizm vs materializm dialektyczny i „edukacyjne pranie mózgu”. Napisał też, że jeśli prąd ten nie zostanie szybko zatrzymany, czeka nas koniec uniwersytetu.

Czy słuchając ideologów w profesorskich togach, którzy rządzą uniwersytetami oraz finansowaniem badań – zwłaszcza na Zachodzie, ale w coraz większym stopniu także u nas – trzeba jeszcze rozpisywać się, by udowodnić trafność prognozy Voegelina? Zaczadzony trucizną liberalizmu i neomarksizmu uniwersytecki *homo ignoramus* kształci szkolnego nauczyciela i dziennikarza, i tak choroba się rozprzestrzenia, z pokolenia na pokolenie zarażając coraz więcej osób.

To, przeciwko czemu protestował Voegelin w 1953 roku, było już dobrze przygotowane przez wcześniejszych zachodnich „edukatorów”. Przy czym prawdziwym fundamentem ich niszczycielskiego dzieła był nie tyle „marsz przez instytucje”, co zawładnięcie językiem międzyludzkiej komunikacji i tego języka unicestwienie.

Dawno temu Alexis de Tocqueville zauważył w *Demokracji w Ameryce*, że demokracja nie sprzyja myśli metafizycznej i teologicznej, rozwija zaś język służący codziennym zajęciom praktycznym. Uczy

pragmatyzmu i likwiduje język zdolny przekazać doświadczenia życia duchowego. Tym skuteczniej, że starym słowom przydaje zupełnie nowe znaczenia i tworzy także słowa nowe, odpowiadające technicznemu charakterowi komunikacji międzyludzkiej. Liberalizm pogłębił ten proces psucia i zubożenia języka oraz opowiedział się po stronie moralnego nihilizmu. Co nie mieści się w liberalnym kanonie, zostaje uznane za irracjonalne. W przestrzeni publicznej, na uniwersytecie i poza nim zniszczony został język, który mówi o rzeczywistym człowieku, jego cnotach i grzechach, jego tęsknotach i przesądach (właściwie przed-sądach, czyli ocenach przyjętych mocą tradycji i obowiązującego go kodeksu moralnego), o wszystkim tym, co czyni jego życie wartym przeżycia.

Gdy Victor Klemperer analizował język hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy, tak pisał:

Każdy język, który może swobodnie funkcjonować, służy wszystkim ludzkim potrzebom: jest narzędziem zarówno umysłu, jak i uczucia, środkiem informacji i rozmowy, monologu i modlitwy, prośby, rozkazu i zaklęcia. LTI [Lingua Tertii Imperii, czyli Język Trzeciej Rzeszy] służy wyłącznie temu ostatniemu.

Czyż dzisiejsze teksty oraz wypowiedzi rzeczników „wolnego wyboru”, „różnorodności”, promocji LGBT i transpłciowości, wśród profesury i w mediach, nie są wyłącznie pełną zaklęć nowomową?

Czy George Orwell miał rację?

„Jeśli jest jakaś nadzieja, to w robotnikach” (*if there is any hope, it lies in the proles*), pisał George Orwell w dystopii *Rok 1984*. Dziś odpowiednikiem robotników jest „milcząca większość”.

Czy w roku 2020 można pokładać nadzieję na uzdrowienie opisywanego obłędu w orwellowskich robotnikach – pozostawionej samej sobie milczącej większości? Ta część milczącej większości, która pozostaje wierna językowi i obyczajom swoich przodków – co dzisiejsza awangarda uznaje za wybór irracjonalny – jest dziś skazana na zamknięcie się w rodzinnej wspólnotie i niekiedy kościele. Niewielu z nich aktywnie włącza się w życie Kościoła np. pielgrzymując do miejsc szczególnego kultu. Inni, a jest ich większość, za normalne uznają to co nienormalne, ale narzucane przez prymitywne media, oddają się komputerowym grom, oglądaniu do upadłego filmów, meczów i np. słuchaniu disco-polo.

Wszyscy razem stanowią bierny proletariatuskazany na społeczną acedię, nie tylko bez wpływu na kondycję narodowej wspólnoty, ale znajdujący się pod presją wywieraną przez ośrodki władzy unijnej oraz krajowe środowiska owładnięte – autentycznie albo nieprawdziwie – opisanym tu obłędem. Środowiska te są obecne w świecie polityki, mediów, nauki, wśród celebrytów. I środowiska te zdołały narzucić język, w którym toczy się publiczna debata nad promowanymi przez nie wynaturzeniami. A to musi pogłębić społeczną konfuzję, by w końcu przynieść pogodzenie się milczącej większości z obecnością tych wynaturzeń w przestrzeni publicznej (np. pogodzenie się z legalizacją transpłciowości). Szerzone historyczne kłamstwa skazują młodzież na utratę poczucia łączności z ich ojczyznami.

Dobrze opisał ten proces Marcin Kędziński w tekście pt. „Przemija bowiem postać tego świata”. *LGBT, Ordo Iuris i rozpad katolickiego imaginarium*.

Zaiste, jeśli można mieć nadzieję, że odbudowa „katolickiego imaginarium” jest możliwa, to na pewno poza panującym systemem. Zacząć się powinna od założenia nowych uniwersytetów, czyli od mądrego kształcenia przyszłych pokoleń. Mamy potrzebną do tego kadrę akademicką, ale to praca na pokolenia i niestety wymagająca ogromnych oraz regularnie ponoszonych nakładów finansowych. Praca od podstaw w państwie – czy raczej na obrzeżach państwa – w którym owładnięci obłędem mają zbyt wiele do powiedzenia.

Jacek Koronacki

Warszawa, 1 września 2020